FOR MEMBERS ONLY

CZARODZIEJSKI ROJ

Nr. 1 (7)

Luty 1948

archiwum harcerskie.pl

Kochani Wodzowie!

Komenda Główna Z. H. P. w Niemczech powierzyła nam trudne lecz zaszczytne zadanie przywrócenia do życia naszego pisma zuchowego „Czarodziejski Rój", które w ubiegłym roku szerzyło wśród rzesz zuchowych tyle radości i wodzom dawało wiele materiału do opracowania na zbiórkach.

Zuchy cenią wszelkie dobre tradycje, a „Czarodziejski Rój" należy niewątpliwie do najlepszych, dlatego musimy tę tradycję podtrzymać. — Zdajemy sobie sprawę, że trudno byłoby podnieść nasze pismo na jeszcze wyższy poziom, chcielibyśmy tylko, aby, o ile możności, utrzymać taki sam poziom, jaki „Czarodziejski Rój" miał poprzednio.

Jednakże wszyscy Wodzowie zdają sobie sprawę że nasze skromne zdolności i możliwości na to nie wystarczą, pismo nasze będzie tylko w tym wypadku mogło rozwijać się pomyślnie i służyć pracy zuchowej, gdy Wy wszyscy, Wodzowie, pomożecie nam w tej pracy, inaczej czekałaby nas praca tak ciężka, że nawet takie dzielne, jak my, zuchy musiałyby „skapitulować" i pismo upadłoby znowu, a na pewno tego ani Wy, ani my sobie nie życzymy.

Wzywamy przeto wszystkie gromady od „Groźnych Janosików" aż do „Dzikich Indian", aby pospieszyli nam z pomocą, a wodzowie aby postarali się czasem coś do nas napisać. Jak do „Czarodziejskiego Roju" pisać, to już wiecie . . . bojowo . . . krótko i . . . naturalnie tylko prawdę, zuch „lipy" nie lubi.

Czuj!

REDAKCJA

WODZOWANIE

Zdziwił się raz bardzo pewien słynny wódz, gdy po przyjechaniu do jego gromady w gościnę (cel właściwy: wizytacja!), poprosiłem go, żeby sobie odpoczął" i pozostawił mnie samego z zuchami.

Była to gromada zuchów — chłopców, licząca 28 „Botokudów". Krótko powiedziałem zuchom: „Pobawie się sami, w co chcecie".

Ledwie zdążyłem wydać to polecenie, już jakiś gryciarz zapytał: „Ile mamy na to czasu?" Jedną godzinę — odpowiedziałem. Za chwilę usłyszałem jakieś dziwne zawołanie: „Dzi — bo to!" Natychmiast zuchy zrobiły zbiórkę w układzie gwiaździstym, wykonały kilka okrzyków, jakiś taniec (obrzęd!), a po ostatnim „wyciu" chłopcy ulotnili się, „jak kamfora". Na placu pozostało tylko czterech zuchów, którzy przez 1-2 minuty coś tajemniczo radzili. Na następne zawołanie jednego z tych czterech zuchy „wyrosły jak spod ziemi" z wielkim wyciem, w dziwnych podskokach, i zaczęły się bawić. Czego tam nie było na tej zbiórce! I piosenki, i tańce, i zabawy i zawody! Poszczególnymi zajęciami kierował kolejno każdy z tych „Czterech" (na pewno byli to szóstkowi).

Zuchy ładnie się bawiły, były wesołe i karne, „uhawiły się", odchodziły ze zbiórki zadowolone. Oczywiście, bawiłem się razem z nimi!

A wódz tymczasem niecierpliwił się czekaniem i bardzo się dziwił . . . Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy mu zaraz po powrocie ze zbiórki powiedziałem: „Dziękuję ci, wodzu, za dobre prowadzenie gromady". I wy się pewnie dziwicie, skąd mogłem wiedzieć, że ów wódz dobrze prowadzi gromadę. Przecież nie widziałem go właściwie przy pracy, nie widziałem Księgi Gromady, nie rozmawiałem z nim nawet o pracy w tej gromadzie, bo w ogóle i jego i jego gromadę widziałem po raz pierwszy — Skąd wiedziałem, że ta gromada jest prowadzona we właściwy sposób? Powiedziały mi to zuchy przez to, że same potrafiły się zorganizować do zabaw, gdy im powiedziałem: „Bawcie się sami, w co chcecie".

Zuchy wykazały na tej zbiórce wiele samodzielności, zaradności i współżycia gromadnego. To właśnie jest dostatecznym dowodem, że wódz stosuje w pracy dobre metody wodzowania. Ten wódz na pewno sam wszystkim nie kierował w pracach tej gromady, sam wszystkiego nie projektował, bo nie rozwinąłby w zuchach tej samodzielności, odwagi i zaradności. Ta gromada nie była grupką tresowanych chłopców, ale zżytą gromadą umiejących się bawić zuchów.

Wódz jest członkiem tej gromady i przychodzi na zbiórki dlatego, bo lubi bawić się w to, co i jego zuchy.

Woda sodowa nie zaszumiała mu w głowie, że jest „wodzem". On jest przecież tylko dyskretnym doradcą zuchowych poczynań; czasem pokaże jakieś nowe ćwiczenie, z wydarzeń życia gromady wyciągnie wnioski wychowawcze (bez „morałów), coś doradzi niby, niby najmniej zabiera głosu, a konsekwentnie zdąża do celu (jedna z tajemnic wodzowskiego powodzenia), przez gry, zabawy i ćwiczenia. Ta twoja pozorna bierność, wodzu, nie pomniejszy ci autorytetu, bo ty jesteś tylko jakby duchowym przywódcą. A jeśli stwierdzisz, że twoje zuchy same potrafią zacząć ładnie śpiewać, same pod nieobecność wodza potrafią, zorganizować zabawy, to ciesz się, bo to twoja zasługa. Ty przygotowujesz wprawdzie program zbiórki i tylko ty wiesz, jaki z tej zbiórki pragniesz osiągnąć cel, ale pozwól jednak swoim zuchom, w miarę możności, samym tę zbiórkę przeprowadzić. Twoja wodzowska wiedza powinna ci te sekrety powodzenia ułatwić. A wtedy będziesz dla swoich zuchów Wielkim Wodzem!

Czuj!

Wł. Dębski hm.
(„Przebiegły Lis")

Drodzy Wodzowie!

Wznawiamy wydawanie miesięcznika „CZARODZIEJSKI RÓJ". Liczne listy z zapytaniami, dlaczego to pismo nie wychodzi, są dowodem, że jest Wam ono potrzebne do pracy w Gromadach. Mamy nadzieję, że wszyscy Wodzowie Gromad Zuchowych w Niemczech będą korespodentami swojego pisma.

To jest jeden z Waszych obowiązków.

Czy postaracie się?

Czuj!
Kier. Wydz. Zuchów
w Komendzie Głównej

archiwum harcerskie.pl

hm. Aleksander Anik-Nikończuk

O czym każdy wódz wiedzieć powinien

Wprowadzenie do zuchowania pierwiastków ojczystych, religijnych, narodowych i ludowych jest obowiązkiem i koniecznością Wodza. Nie miejsce i nie czas wskazywać, czym jest wiara katolicka dla naszego Narodu, a tym bardziej, czym jest ona dla Polaków-emigrantów. Wystarczy powtórzyć słowa wielkiego żołnierza i wielkiego patrioty, kapłana Hieronima Kajsiewicza, który do emigracji w Paryżu tak mówił: „Polska jest jako obraz malowany na murze, zburz mur, a obrazu nie będzie . . .“ Tym murem to Wiara Katolicka Narodu! Dlatego też wódz z całą starannością winien wyrabiać tę Wiarę w zuchach, przeżegnanie się, modlitwa, chodzenie do kościoła, strojenie żłobka, chodzenie z szopą, branie udziału w procesji Bożego Ciała i w innych obrzędach kościelnych, strojenie kaplic i krzyżów, porządkowanie grobów — oto prace, o których też wódz winien pamiętać. Zuch musi być praktykującym katolikiem, każde dziecko polskie, rzucone na obczyznę, musi zawsze i wszędzie zostać Polakiem!

Naród — to zbiorowa „wielka rodzina“, spojona tysiącznymi węzłami nie tylko wspólnej ziemi ojczystej ale znajomością i ukochaniem Jej dziejów, Jej pamiątek i zdarzeń, ziemi przesiąkniętej krwią i potem Jej dzieci; ukochaniem przeżyć nie tylko wielkich dni chwały i radości, ale i upokorzeń, i bólów, i cierpień złożonych we wspólnym skarbcu narodowych pamiątek, utrwalonych w obchodach, rocznicach, zwyczajach i obyczajach — w tradycji żywej i historii. ZUCH KOCHA BOGA I POLSKĘ!

Nie służy Jej jeszcze, nie pracuje dla niej, bo jest zbyt mały, ale kocha Ją całym swym wiernym, zuchowym sercem, nie wolno mu przestać Jej kochać, nie wolno dać zmniejszyć się tej miłości, bo ona jest warunkiem Wolności Istnienia.

Trzeba więc zuchom zawsze dużo mówić o Polsce, trzeba pokazywać ją na obrazach, w teatrze samorodnym, trzeba przez polską pieśń, prznz polski taniec i przez polskie stroje, zwyczaje rozdmuchiwać płomień Miłości Ojczyzny, który płonie w ich maleńkich serduszkach.

Niech każdy wódz w cyklach da zuchowi drogie sercu każdego Polaka przeżycia i pamiątki i niech zuch w dziejach Polski wyczuje drgnienie własnego serca, pozna Polskę lepiej, pogłębi miłość dla Niej. Niech stanie się żołnierzem walczącym w Jej obronie w cyklach „Legionisty“, „Orlęcia Lwowskiego“, „Marynarza“ i innych. Lwów, Wilno i Cieszyn, Poznań czy Warszawa — to jeden wielki pomnik niespożytej sławy obrońców Ojczyzny; zapoznajmy z tym zucha. Mogiły tych bohaterów stały się niewzruszonymi słupami granicznymi Polski dlatego nie ma Polski bez Lwowa i Wilna, i o tym zuch ma wiedzieć winien.

Wprowadzajmy przeto do pracy zuchowej świeże, nowe, regionalne cykle „Poleszuka“, „Wilnianina“ itp., bohaterstwo Orląt Lwowskich porwie tych twoich zuchów więcej, niż Indianin, a czyny smyków warszawskich będą dla nich wzorem miłości Ojczyzny. Starajmy się tylko oddać jak najbardziej właściwy duch, właściwy koloryt polskiej pieśni i tańca, roztoczmy przed oczyma zuchów piękno polskiej ziemi, mówmy im o życiu pełnym poświęcenia, przygód i radości, walki ludzi polskich — polskich prawdziwych zuchów. Dajmy zuchom odczuć szczęście i dumę z przynależności do Narodu polskiego. Niech znają Ziuka, ks. Pepi, Tadka Jeziorowskiego i Jurka Biczana. Niech znają Mickiewicza, Słowackiego, Sienkiewicza, niech wiedzą, co to Podlasie, Polesie, Wołyń i Podole, niech czują się prawdziwymi Polakami, Rozwijajmy w zuchach wytrzymałość w zdobywaniu wiedzy o Polsce, rozwinięte poczucie koleżeństwa dla każdego zucha — Polaka, lojalność do Polski, poświęcenie, patriotyzm, zamiłowanie do życia polskiego i do czystości mowy polskiej. Ideał Ojczyzny wraz z Wiarą katolicką niech tkwi zawsze w ich sercach i świeci im gwiazdą przewodnią w myśli i postępowań, wychowuje ich na patriotów — na dzieci-bohaterów, by mieli w sobie wielkie umiłowanie Ojczyzny, ducha sprawiedliwości i miłosierdzia.

Chciejmy i umiejmy cenić więcej pracę nad dziećmi polskimi na obczyźnie, chciejmy wszyscy więcej cenić tego małego Polaka, to drgające, żywe serce ludzkie. Ratunek dzieci na obczyźnie to większy postulat niż sztuka, nauka, zatrudnienie. — Naród, który nie dba o swoje dzieci, nie dba o swoją przyszłość. Dziecko, uratowane dla Boga i Ojczyzny, to większy skarb niż najcenniejsze rzeczy, bo to żywy człowiek, bo to budowanie przyszłości. Dziecko wychowane religijnie i patriotycznie nigdy zdrajcą swego Narodu nie będzie i jako dorosły zawsze będzie Polakiem — patriotą. Małe dziecko polskie — to przyszły obywatel Polak. O tym pamiętać należy szczególnie teraz, tu na obczyźnie, gdzie dziecko polskie łatwo może ulec wynarodowieniu.

Patriotę wychowa tylko patriota, a katolika tylko katolik. Chciejmy tedy być jak najlepszymi patriotami i na liście naszych obowiązków na pierwszym miejscu postawmy miłość Boga i miłość Ojczyzny. Zwiążmy nasze życie patriotyczne obowiązkim zuchowania i oprzyjmy się na silnej i niczym nie wzruszonej opoce Kościoła Katolickiego.

archiwum harcerskie.pl

Zuzanna Rabska

O Helskich Dzwonach

Gdy przed wiekami wspaniałe miasto Hel pochłonęło morze, powstała nieopodal, na cyplu piaszczystym, skromna wioszczyną, gdzie ubogich zamieszkała rybaków . . . Cicho tam było i pusto, na odludziu, a przecież wioska miała serce, jak każda żyjąca dusza. Tym sercem wioski były jej dzwony.

Zawieszone wysoko na dzwonnicy kościelnej, biły ludziom na radość i trwogę. Głos, jeśli rozlegał się po całym półwyspie, aż do Puska, a gdy nie było wichru, przebytywał przez zatokę i nawet w Gdyni, po drugiej stronie małego morza było go słychać.

Dzwonów żelaznych było siedem: dwa wielkie niby rodzice, a pięć małych, jak dziatki. Gdy dzwonnik Bartłomiej dzwony w ruch wprawiał, powstawała cudna melodia. Każdy dzwon miał swój głos a gdy na raz dzwoniły wszystkie, to słychać było w tem tych dzwonów szum morza i szelest liści bukowych z helskiego boru i śpiew ptaków a nawet głosy dobrych ludzi.

Rybacy bardzo kochali swoje dzwony i nie wyobrażali sobie, jakby to być mogło bez nich na Helu.

Jakież było ich przerażenie, gdy któregoś dnia stary kościół stanął w płomieniach! Był wybudowany z suchego, sosnowego drzewa, więc spłonął nim ludzie odłonęli ze zgrozy i pomyśleli o ratunku. Dzwony ulane z żelaza, nie miały czasu się stopić i można je było w całości uratować ze zgliszcz. Bardzo prędko po spaleniu starego wybudowano na innym miejscu nowy kościół z czerwonej cegły ! Bartłomiejowi polecono powiesić na nowej dzwonnicy stare dzwony. Dopomagała mu w tym mała sierotka Joasia. Była to bardzo nieszczęśliwa dziewczynka, głucha od urodzenia. Nie mogła się w szkole uczyć, bo nie słyszała tego, co mówił do niej nauczyciel. Więc pasła kozy na łące i na polanach leśnych i kryła się jak mogła przed innymi dziećmi, które jej dokuczały.

Joasia miała dwanaście lat, ale wyglądała na znacznie młodszą dziewczynkę. Miała wielkie oczy, które, jak mówili ludzie, „czarczyłyby jej za uszy“, bo gdy ktoś do niej się odezwał, ona słuchała tymi oczami i wydawało się że wszystko rozumie.

Ale Joasia nie słyszała, bo słyszeć przez swoje kalectwo nie mogła żadnego dźwięku. Nie miało dla niej głosu ani morze, ani bór, ani stary opiekun Bartłomiej. Spełniała jednak gorliwie swe obowiązki, była dobra, posłuszna i pobożna a działo się tak dlatego, że słuchała głosu swego serca. Serce człowieka ma głos tak donośny, że można go zawsze słyszeć, bo w nim dźwięczy sama prawda. Nigdy nikogo jeszcze nie zawiódł głos serca.

Ale co było najdziwniejsze, to, że Joasia, prócz głosu swego serca, słyszała także głos helskich dzwonów ! . . .

Milczał dla niej bór i milczało morze, ale gdy na Anioł Pański zadzwoniły dzwony, poruszane ręką Bartłomieja, Joasia przystawała na polance leśnej, gdzie kozy szczypały mierną trawkę i nadsłuchiwała z palcem na ustach. — Jo-an-na! Jo-an-na! dzwoniły basem dwa wielkie dzwony a pięć małych do wtóru coraz nieco: Jo-a-siu! Jo-a-siu! Słyszała to dzwonienie wyraźnie. Skradało się ku niej po przez las, choć się nieraz oddaliła daleko, w stronę Boru i Jastarni. — O, Bartłomiej dzwoni . . . — myślała. — Trzeba wracać, bo niedługo już noc zapadnie. I zasłuchana w dźwięki dzwonów mała, głucha Joasia wracała przez las, ku chacie dzwonnika, który ją przygarnął.

* * *

Stała się raz na Helu rzecz dziwna i niespodziewana. Najstarsi rybacy, którzy w młodości żeglowali po dalekich morzach i zwiedzili kawał świata, wytłumaczyć sobie tego nie umieli. Ulici w gromadki naradzali się już od paru dni i zachodzili w głowę. Kobiety lamentowały i załamywały ręce.

Oto z dzwonnicy znikło naraz siedem dzwonów. Jak kamień w wodę! Ani śladu po nich! — — — Jeszcze w niedzielę zwoływały na nabożeństwo rybaków z całego półwyspu i aż w Jastarni było je słychać. Dzwoniły tak radośnie, jakby to było jakie wesele. Bo też stary Bartłomiej cieszył się, że synowie do chaty wrócili z bogatym połowem węgorzy i łądęr a on zawsze radość swą i smutek kładł w uderzenia dzwonów . . . — Naraz cisza . . .

Pierwsza tę ciszę zauważyła Joasia. Zbliżała się godzina, gdy Bartłomiej dzwonił na Anioł Pański. Zastanowiło ją zawsze zapadające za morzem słońce. Czekała stojąc na wybrzeżu, zapomniała o kozkach, które beczały żałośnie, bo nie było na piasku nawet mizernej trawki, prócz ostów i czarnej morszczyny. Czekała Joasia, aż zawołają jej imię żelazne dzwony na dzwonnicy, takie zawsze dla niej dobre, jakby to byli bracia i siostry. Ale cisza była w lesie i na morzu. Doskonale rozumiała, choć słyszeć nie mogła, że dokoła niej była cisza. — Co by to mogło znaczyć? — pomyślała przestraszona. I pobiegła pędem z kózkami do wsi. Rybacy, wyciągający z morza sieci, nie zauważyli nawet braku dzwonów, tak byli swoją pracą zajęci. Ale zauważył to Bartłomiej. Z całej siły pociągnął za sznur, jak to zwykł był czynić licząc na ciężar dzwonów, ale tym razem sznur nie stawił żadnego oporu. Stary Bartłomiej zatoczył się i omal nie upadł na ziemię. — Ludzie, słuchajcie! A co się też mogło stać z naszymi dzwonami? — wołał w przerażeniu biegnąc ku rybakom którzy opodal naprawiali sieci. Ten i ów obejrzał się i zaraz powrócił do pracy. Rybacy jeszcze nie zrozumieli o co chodzi i roześmieli się ze starego dzwonnika, któremu się widocznie rozum pomieszał. — A gdzieżby te dzwony miały uciec? Alboż to dzwony mają nogi, czy co? A stary Bartłomiej wszedł tymczasem z Joasią, która właśnie nadbiegła, na sam szczyt dzwonnicy i powrócił blady z trzęsącymi się rękami. — Nie ma dzwonów! Powiadam wam, nie ma naszych dzwonów! — wołał z rozpaczą.

— Jak sobie poszły, tak samo do nas i wrócą! — powiedział jakiś rybak, znany z tego, że lubił w karczmie popijać. Mimo wszystko ludzi ogarniać począł lek. — Dlaczego opuściły nas dzwony? — myśleli ze strachem. Ten i ów przypomniał sobie, co się stało z kwitnącym niegdyś miastem Hel, gdy zaczęły się w nim występki i próżniactwo i przeraził się, że ubogą wioskę może spotkać los ten sam. Zaczęli więc przetrząsać swoje sumienie. Alboż to oni żyli uczciwie, tak, jak dobry Bóg im przykazał? Czyż nie obmawiali jedni drugich, nie oszukiwali się wzajemnie, nie kradli owiec i kóz z pastwiska a towarów z łodzi?

Widziały to wszystko dzwony, zawieszone wysoko na dzwonnicy i widocznie, nie mogąc znieść dłużej widoku złych uczynków ludzkich, skryły się gdzieś pod ziemią. Kto je teraz odnajdzie? Kto powróci wiosce dzwony utracone.

* * *

Smutek zaległ cały Hel. Ludzie zrobili się markotni i choć każdy powrócił do codziennych zajęć, nie przestawał myśleć o dzwonach. Bartłomiej nie miał teraz nic do roboty i cały dzień siedział przed swą checą pykając z fajki. Nie mógł się pogodzić z tą myślą, że na dwonnicy dzwonów już nie ma. Ale najwięcej ze wszystkich zmartwiła się ucieczką dzwonów Joasia. Dźwięk ich był to jedyny głos, który się do jej biednej duszyczki ze świata przedostawał, jedyny głos, który ją z tym światem łączył. Siedząc na polanie leśnej i bacząc na kozy, dumała o tym, gdzie się to mogły podziać wielkie dzwoniska i kiedy powrócą na dzwonnicę? Była bowiem pewna, że kiedyś wrócą. Kozy beczały skubiąc na wydmie piaszczystej trawkę mizerną a ona nadsłuchiwała. W porze gdy Bartłomiej dzwonił na Anioł Pański, stawała się czujniejszą. Nieraz jej się wydawało, że słyszy głosy swych braci i sióstr (bo tak zawsze nazywała w myśli dzwony helskie), ale przekonywała się po chwili, że to była omyłka. Otaczała ją cisza, wielka cisza lasu i morza. Biedna Joasia nie słyszała przecież ani szmeru fal, ani szeptów liści . . . ani żadnego głosu na ziemi . . .

* * *

Pewnego dnia Bartłomiejowa posłała Joasię z masłem na targ do Jastarni. Dziewczyna szła przez bór i nie wiedzieć czemu ciągle jej się wydawało, że ktoś na nią woła z gęstwiny. Gdy przechodziła obok zgliszcz starego kościoła, usłyszała nagle w trawie ciche dzwonienie. Co by to być mogło? — pomyślała. — Czy to dzwonia tak dzwoneczki, zawieszone na szyi moich kóz? A może leśne, liliowe dzwonki których tyle kwitnie w lesie? I za przyczyną jakiej łaski słyszy ona ten głos, skoro żaden dźwięk nigdy do jej uszu nie dochodzi?

Zaczęła się dokoła rozglądać, rozgarniać trawy i gałęzie i nagle zauważyła, że coś przebłyskuje wśród wrzosów. Podbiegła do tego miejsca i stanęła jak wryta. W trawie leżał jeden z dwóch największych dzwonów z helskiej dzwonnicy.

Josia przeżegnała się, uklękła na mchu, objęła dzwon rączkami tak, jak się mateczkę kochaną obejmuje za szyję i nagle rozpłakała się z wielkiej radości. Bo nie tylko że znalazła wielki dzwon a obok niego, ukrytych w trawie isześć innych ale przytknąwszy ucho do zimnego żelaza, usłyszała wyraźnie jak bije serce dzwonu — jak bije dla niej, dla małej, głuchej Joasi — sieroty. Co prędzej biec chciała do wioski z dobrą nowiną, że znalazły się dzwony, rzucić się na szyję Bartłomiejowi, który tak za nimi tęsknił i wciąż o nich rozmyślał i zawołać: — Ojcze, nie martw się już! Są dzwony! Znalazłam je! Zaraz ci pokażę, gdzie są ukryte.

Ale wkrótce przyszła jej inna myśl do głowy. Jakby to było dobrze zabrać je ze sobą odrazu! A nuż dzwonom przyśni się zmienić miejsce i zmylić ślad, tak, żeby ich już odnaleść nie mogła? Spsociły raz, może i po raz drugi przyjść im chętka do psoty! Bo one we wszystkim co robią, mają jakiś cel, im jedynie wiadomy. To jasne!

Więc Joasia, nie wiele myśląc, zawija rękawy sukienki i chce udźwignąć dzwon najmniejszy. Ciężko jej to przychodzi, krople potu błyszczą na jej skroniach, mały dzwon jakby wrósł w ziemię, nie sposób go z miejsca ruszyć. Rozpłakała się Joasia, bo wieczór już zapadał, w lesie zrobiło się ciemno. Co pomyśli Bartłomiej i jego żona, co synowie Bartłomieja, gdy wrócą z połowu i jej nie zastaną? Trzeba się spieszyć, by choć jeden dzwon zanieść do wioski przed nocą. Gdy będzie miała w swych rękach jeden, tamte nie uciekną, bo brata swego nie będą chciały opuścić. Ale dzwon robił wciąż na przekór dziewczynie i coraz głębiej w ziemię się zagłębiał. Próżny był cały jej trud i wysiłek. Gdy tak stała z załamanymi rączkami namyślając się, co począć, nie mogąc ani wracać, ani pozostać, usłyszała w trawie, wśród wrzosów ciche dzwonienie. – Jo-a-siu! Jo-a-siu! – odzywał się duży dzwon, ten, którego zobaczyła najpierwej. Przybliżyła się do niego z bijącym sercem. — Czemu mnie wołasz? Czy masz mi co do powiedzenia! – zypytała nieśmiało.

I czekała drżąc z niepokoju, na odpowiedź dzwonu. A dzwon cichuteńko, jakby to był świerszcz w trawie ukryty a nie wielki, potężny dzwon, zwołujący rybaków z całego półwyspu na modlitwę, w takt zwykłej melodii, która dawniej płynęła ze szczytu dzwonnicy zadźwięczał:

Bim! Bam! Bum!
Weź mnie wpierw! Weź mnie wpierw!
Jestem ojcem małych dzwonów,
A za ojcem idą dzieci!
Bim! Bam! Bum!

Melodia ucichła, Joasia przeżegnała się i objęła obiema rączkami wielki dzwon wytężając wszystkie swe siły, aby go unieść w górę.

A tymczasem dzwon zrobił się tak lekki, jakby to był liliowy dzwoneczek, których tyle rośnie na Helu w lesie wśród mchu i pozwolił się podnieść bez oporu. Joasia wyszła z nim na leśną drogę i obejrzawszy się za siebie, zobaczyła toczące się za nią posłusznie małe dzwony, razem ze swą matką. Szły parami przez las podzwaniając z cicha:

Jo-a-siu!
Bim! Bam! Bum!

* I tak cała gromadka z Joasią na czele, doszła do wioski. Już już zapadła i ludzie spali po chałupach, tylko świeciło się jeszcze w chatce dzwonnika obok nowego kościoła. To Bartłomiej i jego żona, niespokojni o Joasię, nie chcieli się spać położyć i czuwali w nadziei, że dziewczynka powróci, może z lasu. Namyślała się przez chwilę, czy wejść z dzwonami do chaty, ale zbyt wielka miała ochotę powiesić je chyłkiem na dzwonnicy, póki jeszcze były lekkie, jak dzwoneczki leśne. Pan Bóg jej w tym chyba mógł, bo bez żadnego trudu powiesiła na nowej dzwonnicy wszystkie siedem dzwonów. Gdy wracała do chieczy Bartłomieja, świt już zarumienił morze i niebo. Przyrzekła sobie w duszy, że do następnego dnia nikomu nie wyjawi radosnej tajemnicy.

* * *

Nazajutrz była niedziela. Już od samego rana schodzić zaczęli ludzie do kościoła na nabożeństwo, choć dzwon ich nie wzywał. Ale właśnie może dlatego, od czasu, gdy dzwony znikły z dzwonnicy helskiej, stali się czujniejsi i już się nie spóźniali na mszę, jak dawniej. Joasia stała obok Bartłomieja i co chwila podnosiła oczy w górę, ku szczytowi dzwonnicy. Dziwił się stary dzwonnik i dziwili się ludzie.

Czego też Joasia szuka w górze, gdzie wisiały niegdyś zgubione dzwony a gdzie obecnie mewy tylko odbijały o pustą dzwonnicę swoje skrzydła?

Dopiero gdy już wszyscy weszli do kościoła i ksiądz jął mszę odprawiać, Joasia nie zauważona przez nikogo, weszła do dzwonnicy i jęła z całej siły ciągnąć za sznur. - Jo-an-na! Jo-an-na! zadzwoniły naraz dzwony. I gdy je raz zabuśtała, dzwoniły same głośno i donośnie. Dźwięk ich niósł się przez cały Hel aż do Pucka i przez małe morze płynął ku Gdyni.

Jo-an-na! Jo-an-na!

Ludzie w kościele oniemieli ze zdumienia. Stary Bartłomiej padł krzyżem przed ołtarzem zanosząc modlitwę dziękczynną do Boga. Nikt zrazu nie wiedział za czyją przyczyną powróciły dzwony, ale wkrótce one same wyznały wszystko. Nie na darmo powtarzały: Jo-an-na! Jo-an-na! Najwyraźniej przecie w dźwięku helskich dzwonów dźwięczy po dziś dzień imię małej pastuszki Joasi.

Dźwięczy ono wśród ciszy i z szumem wichrów wiejących od spienionego morza. Wtedy rybacy z całego półwyspu przepominają sobie Joasię. Przystają i modlą się żarliwie, aby Bóg odwrócił od nich złe i pokusę, i aby nigdy już ukochane dzwony ze zgrozy nie potrzebowały kryć się w gąszcze liliowych wrzosów.

archiwum harcerskie.pl

TEATRZYK ZUCHOWY

KRAK I SMOK

(Komedyjka zuchowa w 1-nym akcie i kilku odsłonach).

Osoby: Krak (Strój Kraka jest powszechnie znany)
Smok (zuch odpowiednio przebrany).

(Scena może być udekorowana odpowiednio, np. przez ekran z namalowanym Wawelem, jak również komedyjka może być odegrana bez żadnych dekoracji, chodzi tu więcej o humor, niż o istotne „widowisko". — Rzecz może być odegrana wszędzie, nawet na zbiórce zuchowej).

Scena I.
Krak wchodzi. Krak wychodzi.

Scena II.
Smok wchodzi. Smok wychodzi.

Scena III.
Krak wchodzi. Smok wchodzi.
Krak wychodzi. Smok wychodzi.

Scena IV.
Smok wchodzi. Smok ryczy.

Scena V.
Smok wchodzi. Krak wchodzi
Smok ryczy. Krak wychodzi.

Scena VI.
Krak wchodzi. Smok wchodzi.
Smok ryczy. Smok wychodzi.

Scena VII.
Smok wchodzi. Krak wchodzi.
Krak ryczy. Smok wychodzi.

Scena VIII.
Krak wchodzi. Smok wchodzi.
Krak ryczy. Krak wychodzi.

Scena IX.
Krak wchodzi. Smok wchodzi.
Krak ryczy. Smok ryczy.
Krak wychodzi. Smok wychodzi.

Scena X.
Krak wchodzi. Krak ryczy.
Smok wchodzi. Smok ryczy.
Krak wychodzi. Smok wychodzi.

KONIEC

Kazimiera Jagiełło

Skarb ukryty

(bajka)

Żył sobie we wsi ubogi wieśniak, który nie miał swojej ziemi i tylko pracował u drugich. Ale znudziła mu się ta praca na cudzym, więc postanowił wybrać się w świat, może mu się gdzieś lepiej poszczęści. Zamknął chatkę, a ponieważ nie miał dużo rzeczy, związał sobie tłumoczek, zadał na plecy, kij wziął do ręki i przeżegnawszy się ruszył w drogę. Trochę mu smutno było tak iść ze swej rodzinnej wioski, ale cóż, poszedł szukać lepszej doli. Szedł tak drogą wsród chat, ale że to były żniwa, więc wszyscy ludzie pracowali w polu, tak że tylko psy wychodziły przed chaty i żegnały szczekaniem wieśniaka. Gdy przyszedł na rozdroże, przystanął namyślając się, w którą stronę ruszyć. Spojrzał w lewo, spojrzał w prawo, ale nic nie mógł zdecydować.

Tymczasem przyleciała sroczka, usiadła na przydrożnym drzewie i zaczęła skrzeczeć.

Wieśniak spojrzał na nią i słucha, co sroczka skrzeczy. A ona ogonkiem trzepie, dziobek wciąż otwiera i skrzeczy.

„Skrze, skrze, skrze, każda sroczka o tym wie, że za borem i za rzeką jest tam ziemia niedaleko."

Potrzepała jeszcze ogonkiem, poderwała się z gałęzi i pofrunęła.

Wieśniak uszom nie wierzył, bo pierwszy raz mu się zdarzyło, aby zrozumiał, co sroka gada. Ale wyraźnie słyszał, przecież skrzeczała, że za borem i za rzeką, a potem poleciała nad tą drogą na prawo. Wiesniak wiedział, że tam jest bór ciągnący się wiele, wiele mil.

Nie namyślając się już dłużej, ruszył w tym kierunku, w którym sroka poleciała. Ponieważ wyszedł rano z domu, więc miał przed sobą cały dzień, mógł zatem jeszcze przed nocą dojść do tego boru. Więc szedł raźno dalej. Słonko przygrzewało, gdzieniegdzie już zboża były zżęte i sterty złociły się do słońca jak złote.

„Oj żeby to były moje" — pomyślał wieśniak — „nie musiałbym wędrować i szukać szczęścia. No, ale trudno, nie każdy może znaleźć szczęście w swej rodzinnej wiosce."

Tak mijał wioski i pola. Już przeszło południe, jeść i pić mi się zachciało, więc wyszukał ocienione miejsce, usiadł, wyjął chleb z tłumoczka i zaczął jeść. Gdy już sobie trochę podjadł, wstał i znów szedł dalej, bo chciał koniecznie przed nocą dojść do boru. Po drodze napotkał strumyczek, napił się wody i wędrował dalej.

Gdy tak szedł sam ciągle, ujrzał w pewnym miejscu człowieka ubranego też jak on ubogo i też z tłumoczkiem na plecach. „Dziwne, że ja go dopiero teraz zobaczyłem" — pomyślał wieśniak — „przecież idę cały czas i nikogo nie spotkałem, a ten nagle tu się zjawił."

Człowiek zbliżył się do wieśniaka i pozdrowił go. Potem zapytał, dokąd tak wędruje.

archiwum harcerskie.pl

Wieśniak zadewolony, że ma do kogoś mówić, odpowiedział — „A szukać szczęścia, bo już mi się w mojej wiosce uprzykrzyło wiecznie cudzym wydogiwać się i nic z tego nie mieć." — Na to obcy wyraził zadowolenie, bo i on też wyruszył w świat szukać lepszej doli. Był to człowiek już niemłody, chudy, ale jeszcze czerstwy i widać silny. Taki towarzysz mógł się przydać. Więc szli razem, opowiadając sobie różne historie.

Godziny mijały i do boru mieli już niedaleko. Zorze wieczorne czerwieniły niebo i las zdawał się płonąć.

Wreszcie gdy już tak szli i zdawało się, że ścieżka się nigdy nie skończy, zgasła nagle i tuż przed nimi wyłonił się jakiś dom i zobaczyli tuż obok ogromną sforę psów i jakichś dziwnych zwierząt uwiązanych na łańcuchach.

Ale, o dziwo, zwierzęta na widok ludzi nie wydały żadnego głosu. Wieśniak przeraził się tych potworów i już chciał zawrócić, gdy wtem zaskrzypiały drzwi, błysnęło światło i jakaś postać zgarbiona wyłoniła się przed nimi.

Nie było czasu myśleć już o ucieczce. Postać bowiem wyprostowała się nagle i chwyciła wieśniaka

Gdy doszli do pierwszych drzew, wieśniak zobaczył na jednym z nich tę samą sroczkę, co na rozdrożu.

Sroka ogonkiem zatrzepała i zaskrzeczała: „Skrze, skrze, skrze, ja coś wiem, w borze mieszka człowiek stary, który robi różne czary." I znow zatrzepała ogonkiem i pofrunęła dalej w bór.

Wieśniak tym razem już wiedział, że sroczka gdzieś chce ich zaprowadzić. Obcy człowiek nie wyjaśnił mu, że tę srokę słyszy już po raz drugi i okazał zdziwienia, gdy usłyszał srokę. A wieśniak wyjaśnił mu, że tę srokę słyszy już po raz drugi i na pewno ona chce im wskazać jakąś drogę. Człowiek nic na to nie rzekł, jakby go to wiele nie obeszło i nie okazał wiele zdziwienia. Wieśniak był ciekawy, gdzie w tym borze mieszka ów człowiek stary, ale przecież bór był tak ogromny.

Zorze wieczorne już pogasły i zaczęło robić się ciemno. Podróżni postanowili znaleźć odpowiednie miejsce na nocleg. Weszli w bór i zobaczyli wąską ścieżkę, jakoś dziwnie świecącą. „Pójdziemy tą ścieżką" — dziwił się wieśniak — Ciekawość zaczęła go ogarniać i chociaż był już zmęczony całodziennym marszem i głodny, jednak szedł dalej za obcym.

za ramię i wepchnęła do środka, obcy natomiast sam już wszedł za nim.

Przy słabym świetle łuczywa zobaczył wieśniak, gdzie się znajduje. W izbie, w której byli, panował nieład, jakby nigdy tu nikt nie sprzątał. Pełno jakichś misek i naczyń leżało dookoła. Postać, na którą, słabe blaski ognia z dużego ogniska znajdującego padały się pośrodku izby, wydawała się wieśniakowi tak dziwna, że uczuł znów lęk i żałował, że nie uciekł sprzed domu.

Tymczasem obcy człowiek, który z wieśniakiem wszedł do izby, czuł się tu, jak u siebie w domu. Podszedł do czarownika, bo właśnie postać ta dziwna nim była, i zaczął coś cicho mowić. I wtedy czarownik zastukał w podłogę trzy razy i zjawiła się ta sama sroczka, zatrzepała ogonkiem i zaskrzeczała:

„Gdy się ciebie ktoś zapyta,
musisz milczeć wciąż i kwita"

i pofrunęła za piec. „ — A więc to tak — pomyślał sobie wieśniak mam milczeć tak, jak te zwierzęta, które na łańcuchach przed domem widziałem. Ciekaw jestem dlaczego? Widocznie czarownik nie lubi gadułów."

Tymczasem obcy człowiek też nic nie mówiąc przygotowywał wieczerzę. Następnie wskazał gestem

wieśniakowi, żeby jadł. Wieśniak głodny usiadł na jakimś stołku, wziął miskę jakiejś strawy do rąk i zaczął jeść. Ale ledwie trochę się posilił, wnet uczuł, że go ogarnia senność i niedługo potem zapadł w głęboki sen. Jak długo trwał ten sen, nie wiadomo, ale gdy się zbudził, ujrzał wieśniak, że znajduje się na jakiejś drodze, inaczej ubrany niż był poprzednio i że miast tłumoczka leżały przy nim jakieś dziwne narzędzia. Ani boru, ani domu czarownika, ani obcego człowieka. Wieśniak przypominał sobie, jak to było, gdy się znaleźli w borze. Zły był, że szedł za tym obcym człowiekiem, który zamienił mu na koniec rzeczy. „Co on będzie robił z tymi narzędziami.“ Tak myślał wieśniak i żal go chwytał za serce. Już teraz nie miał nic.

Gdy tak siedział nie wiedząc, co dalej począć, zobaczył ptaka lecącego nad nim. Ptak zniżył się całkiem i wtedy wieśniak poznał w nim sroczkę. A sroka zatrzepała ogonkiem i zaskrzeczała:

„Skrze, skrze, skrze, każda sroka o tym wie,
że za rzeką jest tam ziemia niedaleko.
W ziemi leży skarb ukryty przez nikogo
nie zdobyty.

Zatrzepała ogonkiem i pofrunęła. Wieśniak zrozumiał, na co jemu te narzędzia. Więc sroczka czarownika wskazać chce mu skarb w ziemi leżący. Ucieszony poszedł w kierunku, w którym sroka poleciała. Gdy już szedł ze dwie godziny, zobaczył rzekę, a na brzegu stała uwiązana łódka. Odczepił ją, wsiadł do niej i przeprawił się na drugą stronę. Gdy już chciał iść dalej, zobaczył, że sroczka krąży nad szerokim i wielkim polem. Przypomniawszy sobie, co mu ona skrzeczała, wszedł na pole i począł się rozglądać, gdzieby mógł znajdować się ów skarb. Chwycił więc za łopatę i zanurzył w ziemi. Łopata okazała się nadzwyczajna, bo kopała tak szybko i tyle ziemi mógł na nią nabrać, że aż go to dziwiło. Mądry ten czarownik, co mu ją dał. Kopał zatem bez wytchnienia i coraz głębiej, ciekawość i chęć znalezienia skarbu zdwajała siły.

Gdy już zdawało mu się, że niepotrzebnie moje się trudzi, zanurzył jeszcze raz łopatę i chciał przerwać kopanie, nagle trysnęło źródło, ale tak wysoko w górę, że wieśniak przerażony począł uciekać. Jakoś ciecz brudna, cuchnąca tryskała i tryskała. Wieśniak gonił jak szalony, bojąc się tego zjawiska. Ale biegniąc tak, natknął się na jakiś kamien i upadł. Gdy powstał z ziemi, ujrzał przed soba tego samego obcego człowieka, z którym wędrował do boru. Ten zastąpił mu drogę i rzekł, że wieśniak ma to zostać razem z nim. Obowiązuje go tylko na całe życie milczenie, że odnalazł skarb. Wieśniak myślał, że obcy drwi z niego, ale ten zabrał się zaraz do pracy i kazał to czynić wieśniakowi.

I dni mijały, a praca na polu trwała nieustannie. Obcy naznosił różnych belek i budował jakieś wieże: jedną, drugą, trzecią. A źródło wciąż tryskało obficie, roznosząc wokół jakąś dziwną woń. Wieśniak nie mógł pojąć, że tym skarbem jest ciecz, której taksię bał.

Razu jednego obcy człowiek zapalił łuczywo i przytknął do nabranej w miskę cieczy. I, o dziwo, ciecz zaczęła się palić. Była to ropa naftową, a zatem skarb ogromny, jakiego na razie nie mógł docenić wieśniak. Ale po niedługim czasie zaczęli ludzie interesować się tą ropą naftową. Przybywali z różnych stron, pracowali na tym polu naftowym, wydobywali coraz więcej tej ropy, a wieśniak z biednego stał się, dzięki mądremu czarownikowi i jego pomocnikowi, najbogatszym człowiekiem na całą okolicę. Kupił sobie pałac, jeździł pięknym powozem i miał dużo wsi. Kupił nawet tę całą wieś, w której przedtem był biednym wyrobnikiem. Żył długo i szczęśliwie, ale jedno mu tylko dolegało, że nie mógł odnaleźć ani czarownika, ani sroczki ani obcego człowieka. Ten ostatni dawszy mu pewnego dnia wskazówki, jak ma dalej postępować, i nakazawszy mu zachować tajemnicę w jaki sposób zdobył ów bezcenny skarb, zniknął bez śladu.

Wieśniak dochował tajemnicy i gdy go pytano, jak to się stało, że on taki stał się nagle bogaty, milczał.

Cykle zabawowe w gromadach zuchowych

Cyklami zabawowymi nazywamy szereg opracowanych zbiórek dotyczących jednego tematu. Za temat takich zbiórek bierzemy sprawności zuchowe. Zbiórki cyklowe mają za zadnie nie tylko to, aby dzieci przyjemnie czas spędziły, lecz mają wytknięty wyraźnie cel. Na każdej takiej zbiórce zuchy muszą się czegoś nauczyć, ugruntować, czy też nabyć dobre przywyczajenia. Cykl sprawnościowy obejmuje od 8 do 10 ciu zbiórek i trwa około 2-3 miesięcy.

Przy opracowywaniu cyklu sprawnościowego musimy zwrócić uwagę na pory roku, wyrobienie, poziom tak umysłowy jak fizyczny dzieci, warunki lokalne danego środowiska, czas zainteresowania zuchów.

Zbiórki cyklowe muszą być przez wodza dokładnie przemyślane. Muszą zawierać zasadnicze punkty zbiórki zuchowej, t.j. zaczęcie obrzęd śpiew, gawęda, ćwiczenia i gry, tańce, majsterkowanie i zakończenie (obrzęd). Wszystkie te różnorodne działy zbiórki nie mogą być chaotyczne, lecz muszą być złączone jedną myślą przewodnią, którą jest przygotowanie do uzyskania pewnej sprawności. Pod tym kątem widzenia należy dobierać odpowiednie gawędy, śpiewy, ćwiczenia i gry. Obrzędowość powinna wyłonić się z treści i charakteru zbiórek i obrazować najważniejsze cechy przerabianego cyklu.

Zakończenie cyklu stanowić będzie ostatnia z tego cyklu uroczysta zbiórka, na której przyznamy zuchom zdobyte sprawności. Na program takiej zbiórki złożą się wyuczone piosenki i tańce, przerobione ćwiczenia i gry, które damy jako turnieje oraz obrzędowość dostosowana do danego cyklu. Zuchy na taką zbiórkę przyniosą wszystkie wykonane na zbiórkach przedmioty, ubiorą się w charakterystyczne stroje. W pokazach powinny brać udział wszystkie zuchy. Nie może być ani jednego dziecka, które by podczas takiej zbiórki było tylko widzem. Musimy pamiętać o tym, że dziecko pominięte odczuwa to jako niezasłużoną krzywdę.

Zbiórka ta musi być przeżyciem wszystkich zuchów i powinna być opisana w kronice gromady. Każde dziecko niechaj ma tę świadomość, że przyczyniło się do uroczystości gromady i że wspólny dorobek gromady jest i jego cząstką.

Na uroczystość nadania sprawności zaprosi wódz również przedstawiciela hufca, do którego należy, czy też drużynę, lub krąg, przy którym gromada istnieje, oraz rodziców zuchów.

Lila

Sprawność „Eskimosa“

(z ks. Sprawności zuchowe)

1. Brał udział w „wyprawie do bieguna“ i umie taką wyprawę poprawadzić (kompas, ślady, gwiazda polarna itp.)
2. Dobrze jeździ na nartach lub łyżwach. Organizuje różne zabawy na sankach. Umie jeździć na ślizgach zuchowych.
3. Bawi się w polowanie na renifery, wieloryby, niedźwiedzie, foki itp.
4. Zmajstruje sanki lub drewniane łyżwy.
5. Zbuduje chatę eskimoską ze śniegu.
6. Zna sposoby ochrony od mrozu (ruch, smarowanie tłuszczem, owijanie stóp papierem itp.). Wie, co chroni przed przeziębieniem.
7. Opiekuje się psem, rozróżnia jego ślady.
8. Wie, co to są Eskimosi, zna życie ludzi i zwierząt okolic podbiegunowych.
9. Wie, jaką rolę odgrywa pies w życiu Eskimosów.

UWAGI

1. Sprawność Eskimosa obejmuje wszystko to, co związane jest z zimowymi wyprawami i wycieczkami, ma sie rozumieć obliczonymi na siły dziecięce.
2. W gawędach, majsterkowaniu, obrzędach — wyzyskać to wszystko, co wiadomym jest z podręczników i literatury o Eskimosach i innych ludziach północy.
3. Wykorzystać podobne powieści Jacka Londona, oraz Centkiewicza „Wyspa mgieł i wichrów“, i „Biała foka“.
4. Przeprowadzać sprawność w miesiącach zimowych.
5. Opowiedzieć zuchom o udziale Polaków w wyprawach polarnych i ekspedycjach naukowych.

MATERIAŁY DO GAW D.

1. Utang, mały Eskimos wyrusza z ojcem na polowanie na reny. W drodze zabłąkał się. Zrywa się burza śnieżna. Chłopiec buduje małe igloo. Ratuje go ojciec.
2. Narunkok. Ojciec Narunkoka ciężko zachorował. Do uleczenia go potrzebna jest wątroba niedźwiedzia. Chłopiec udaje się sam na polowanie. Ratuje od śmierci ojca.
3. Kuksowina. Kuksowina to pies eskimoski, który jest przodownikiem w zaprzęgu wyprawy do bieguna. W drodze Kuksowina zachorował. Stacza walki z psami, które chcą odebrać mu przodujące stanowisko. Udaje mu się utrzymać je, aż do chwili dojścia do bieguna. Tam pada martwy.

GRY I ZABAWY.

1. Polowanie na foki. Drużyna dzieli się na dwie grupy: jedna — to foki, druga — Eskimosi. Foki przygotowują sobie ze śniegu coś w rodzaju wału, aby się za nim ukryć tak, jak foki pod pokrywą lodową. Myśliwi podchodzą do linii, która jest brzegiem morza i tam zatrzymują się wyczekując, aż któraś zniecierpliwiona „foka“ wyjrzy z ukrycia. Wtedy starają się „zastrzelić“ ją kulą ze śniegu. Gra trwa około 3 minut. Wygrywa partia, która „zabije więcej fok“.
2. Polowanie na reny. Eskimosi siedzą ukryci za wałem śniegowym oczekując przyjścia renów. Reny przebiegają całym stadem. Eskimosi starają się je w biegu „zastrzelić“. Jeśli zastrzelą wiecej niż połowę „renów“ - wygrywają. Strzela się kulami ze śniegu.
3. Obrona przed wilkami. Jedna szóstka buduje sobie prowizoryczny dom ze śniegu „igloo“ i tam się ukrywa. Reszta zuchów (przy czym musi ich być więcej, niż Eskimosów ukrywających się w igloo) to wilki, które napadają na igloo. Eskimosi bronią się śnieżkami. Trzy razy trafiony „wilk“ jest zabity. Gra toczy się aż do zwycięstwa jednej ze stron, t.zn. albo wilki zostaną wszystkie zabite, albo zdobędą igloo.
4. Patrz: Gry i zabawy zimowe w „Książce Wodza Zuchów“.

archiwum harcerskie.pl

OKRZYKI.

1. Wszyscy razem krzyczą: Aholla hi, Aholla ha. Waikki dagonota. Warara Eskimaa.

2. Drużynowy: Eskimo. Zuchy: auuuuua a ja, aja
   Drużynowy: Eskimo. Zuchy: auuuuua a ja, aja
   Drużynowy: Eskimo. Zuchy: auuuuua a ja, aja h
3. Drużynowy: Angitorum. Zuchy: tai-na
   Drużynowy: Angitorum. Zuchy: tai-na
   Drużynowy: Angitorum. Zuchy: ooch, ooch, oo

Między nami

W dniach od 29.12.47 do 7.1.48 r., w Stanicy Harcerskiej w Wolfshagen odbył się kurs Wodzów Zuchowych, urządzony przez Komendę Główną Z.H.P. — Uczestnicy kursu, którzy zjechali się z całej strefy brytyjskiej, a było ich aż 35-ciu, słusznie nazwali się „Łazikami".

Wodzem tej gromady „Łazików" był „Przebiegły Lis" (kto to taki, dowiedzcie się od „Łazików"), w pracy pomagali mu: duży „Komar" i „Wyjący Pawian" (który nie wył, bo był najedzony).

Gromada „Łazików" pod wodzą „Przebiegłego Lisa" nauczyła się dużo różnych i ciekawych rzeczy, a przede wystkim prowadzenia gromady i pracy z nią (jeżeli nie wierzycie, dowiedzcie się od „Łazików") Mówi o tym zresztą hymn „Łazików, ułożony przez nich.

Dodać przy tym należy, że gromada żyła prawdziwie po zuchowemu ku zadowoleniu jej wodza i samych „Łazików", co w nagrodę wszyscy członkowie tej gromady w dniu ukończenia kursu otrzymali drewniane buty (miniaturowe) jako dodatek na dalsze łazikowanie z myślą o Polsce i ku Polsce. Hasłem gromady bowiem jest . . : „Łazikując po obczyźnie, myślę — służ swojej Ojczyźnie . . ". Mamy nadzieję, że zuch „Łazik" o tym nie zapomni, a dla pewności, że tak jest, od czasu do czasu napisze coś do nas. Czekamy!!

Ci, którzy nie byli i nie brali udziału w tym kursie, nie mocno tego żałują, a szkoda, bo więcej dobrych wodzów nam potrzeba. Kurs wodzów ukończyło 6-ciu uczestników.

Czuj!
„Wyjący Pawian".

Poniżej podaję hymn gromady „Łazików".

Hymn Gromady „Łazików"

Słowa M. Grzesik.
mel. J. Kunicewicz.

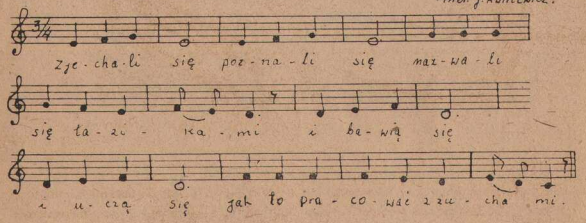

Hymn Gromady „Łazików"

1.

Zjechali się, poznali się,
nazwali się „Łazikami".
I bawią się i uczą się,
jak to pracować z zuchami.

2.

Skaczą, krzyczą, tańczą, ćwiczą,
trudnią się trochę czarami.
Majsterkują, dyskutują,
pocą się nad programami.

3.

Aż przyjdzie czas, gdy każdy z nas,
kochani druhny, druhowie,
Da pracę swą małym zuchom,
Czuj! — wielcy przyszli wodzowie.

archiwum harcerskie.pl

Wyprawa do bieguna

(z „Księgi Wodza Zuchów")

Zuchy biorą z sobą tyle saneczek i nart, ile tylko posiadają i ruszają na północ. Północ określać można według kompasu lub innym sposobem, znanym harcerzom.

Marsz na północ trwa około godziny. Ma się rozumieć, iść trzeba na przełaj — przez pola, pagórki, osiedla etc., obchodząc tylko naprawdę nieprzebyte przeszkody (wody, zabudowania). Po godzinie wódz „zmierzywszy" szerokość i długość geograficzną — orzeka: „Biegun". Zuchy zatrzymują się, wbijają w śnieg chorągiew narodową polską (zawczasu przygotować!) i — — odśpiewawszy „Jeszcze Polska nie zginęła" — wracają. W drodze, jak prawdziwi badacze, muszą obserwować zjawiska przyrodnicze i atmosferyczne i starać się poznać ich naturę.

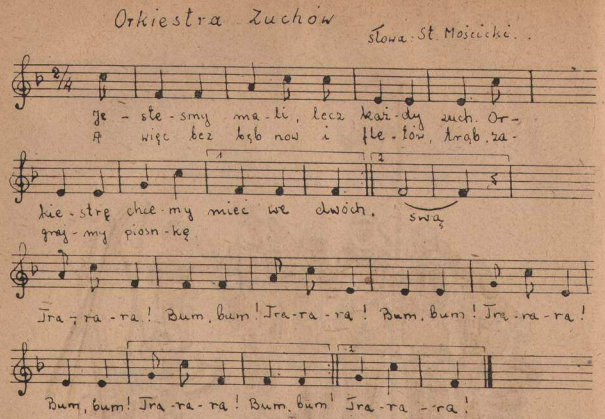

Orkiestra zuchowa

1.

Jesteśmy mali, lecz każdy zuch.
Orkiestrę chcemy mieć we dwóch.
A więc bez bębnów, fletów, trąb
zagrajmy piosnkę swą.
Tra-ra-ra! Bum, bum!
Tra-ra-ra! Bum, bum!
Tra-ra-ra! Bum, bum!
Tra-ra-ra! Bum, bum!

2.

Jesteśmy mali, lecz każdy chwat,
Więc jak żołnierze pójdziemy w świat.
Kiedy bez bębnów, fletów, trąb
zagramy piosnkę swą.
Tra-ra-ra! Bum, bum!
Tra-ra-ra! Bum, bum!
Tra-ra-ra! Bum, bum!
Tra-ra-ra! Bum, bum!

archiwum harcerskie.pl

PORUSZ GŁOWĄ

(Nasze zagadki — szarady — Łamigłówki i. t. d.)

1. Rebus

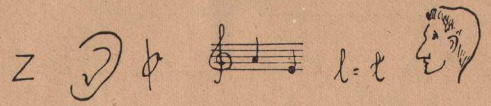

Rozsypanka

Rozpoczynając od pierwszej, czytaj co drugą literę, aż wyczytasz wszystkie.

J, i, e, k, s, o, t, c, e, h, m, a, r, m, e, s, p,
w, e, ó, c, j, i, s, a, t, r, a, z, n, e, i m.

1. Zagadka

Co to jest pół litery,
leżą na niej książki i papiery.

2. Zagadka

Czy nie wiesz czasem, zuchu,
co to za pani ze stali,
co wiąż nosi nitknę w uchu?

3. Zagadka

Dwa K i jedno O
często, zuchu, pijesz to.

Układanka

Do tych patyczków dodaj trzy nowe, co otrzymasz?

Łamigłówka

1. Z sześciu zapałek należy ułożyć 3 trójkąty.
2. Z dwunastu zapałek, leżących w małych odstępach obok siebie, ułożyć 6 krzyżyków, przekładając każdę zapałkę przez dwie na trzecią. Zacząć można z dowolnej strony.

Odpowiedzi Redakcji

Wódz „Wielki Mamba" w Lippstadt . . . „Dziękujemy za „już", i prosimy o jeszcze".

Miki-Pędziwiatr.

Wielki śnieg spadł – hulaj dusza!
Miki na narty wyrusza.

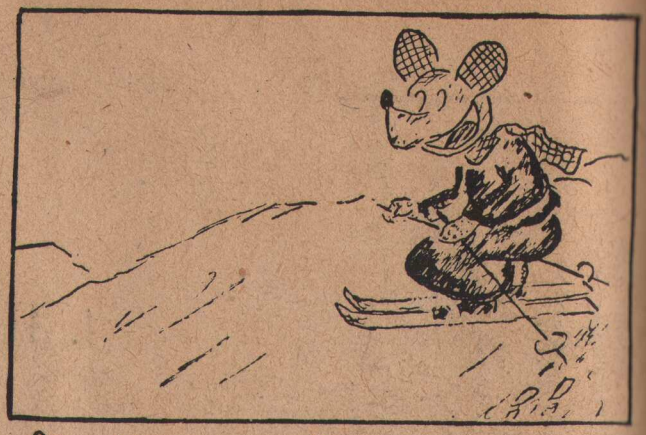

Wszedł na szczyt, jak miło będzie
Pomknąć z góry w wielkim pędzie!

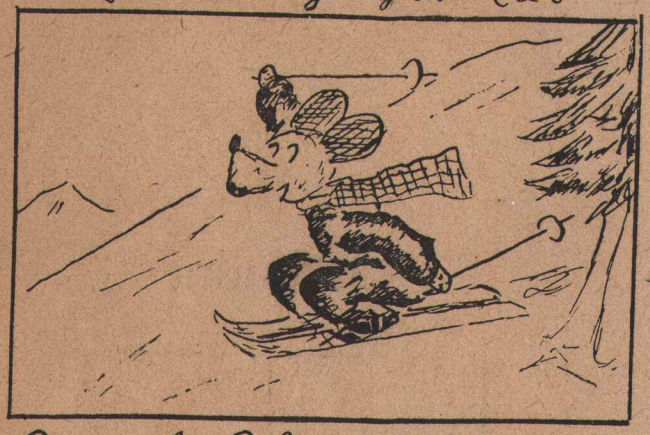

R..r..r..azł i Pędziwiatr młody
Poszedł z wichrem w zawody.

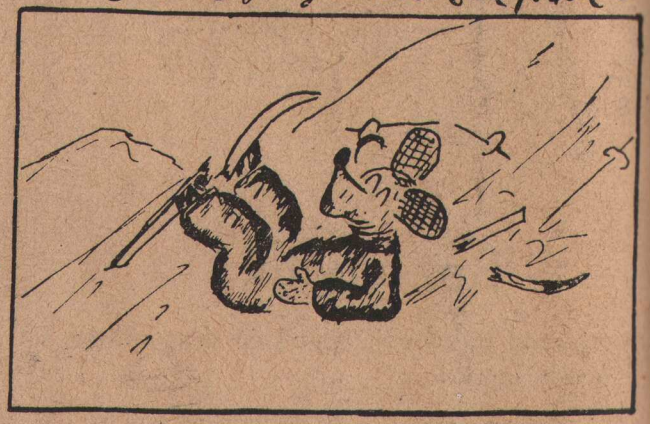

Wtem... potknął się w wielkim biegu
I fiknął koźla na śniegu.

Śnieg lepki, więc ze zbocza
W wielkiej kuli się stacza.....

...i na koniec pięknej jazdy....
...ujrzał Miki w oczach... gwiazdy!

Rys. i tekst: Wielki Mamba

WYDAWCA: Komenda Główna Z. H. P. w Niemczech. Redaktor: Z. Bernaś h. o. Kier. Techn.: J. Kuncewicz phm.
Drukarnia: Carl Vieth, Solingen-Ohligs, Sauerbreystrasse 43-45 - Telefon 32585.

archiwum harcerskie.pl